Johimbina cz.3 — dr_brunet

W rzeczy samej - nie psuły się, kolejnymi wieczorami, odbitym od świec blaskiem wypełniały sypialnię, pospołu z zapachem gorącej stearyny, tężały, burząc samotność dziecięcej liturgii, zamieniały wstydliwe udawanie - w grę - z rolami cudownie rozpisanymi. Wszystko to było, wszystko słyszałem: i polifoniczne wodospady kościelnych organów i kakofoniczny tłum wiernych, pobrzękiwanie pater i ksylofonię dzwonków wieszczących Pater Noster. Z, wciąż przychodzących z Dalekiego Świata żurnali, wycinałem głowy modeli,układałem je, jedna obok drugiej, na poręczach babcinego łóżka, komodzie i nocnej szafce, kilkadziesiąt - roześmianych twarzy - Populo Dei codziennego misterium. Niektóre z nich niknęły w przeciągach, znajdowałem je później pod meblami, na podłodze, sczerniałe od kurzu, zepsute, niczym owe jabłkowe hostie, dziadek palił je w piecu, wraz z pokancerowanymi stronicami Quelle, a one - odchodziły w ciszy, z godnością, wybuchały niebieskawym płomieniem, w tym swoim ostatecznym krematorium. Z czasem, na półce za kuchnią, urosła sporej wielkości sterta kolorowych magazynów - w nich - setki bezgłowych sylwetek ochraniały szare mamine bibuły - wsunięte tam jeszcze zanim rozpocząłem papierową eksterminację.
Byłem wielki. Codziennie patrzyło na mnie kilkadziesiąt oczu, obcych, roześmianych, niektóre ginęły, odchodziły, ustępowały miejsca nowym, świeżym i pachnącym jeszcze proszkiem Persil, którego wonią przesycony był każdy paket, pamiętam i dziś - delikatny, kwiatowy - obcą, niedoścignioną nutą atakujący ludzkie zmysły desant obcej cywilizacji. Byłem wielki. Zacząłem rozumieć, że całe to misterium we mnie się odbywało, stłoczone w jednym miejscu, powtarzane mechanicznie co wieczór, stylistycznie nienaganne, formalnie doskonałe. Moje. Pojąłem, że sobie samemu śpiewam psalmy, mamrotam łacińskie zaklęcia - skierowane - nie - gdzieś tam - ale do nieba, które, zduszone gardłem, zaciśnięte przeponą, zamknięte zostało w dwunastoletniej klatce piersiowej. To ja stanowiłem centrum wszystkiego, najjaśniejszy punkt, zenit, a, ustawieni w rzędach papierowi katolicy, podziwiali, chłonęli każdy element mej narcystycznej liturgii - ofiary - z dokładności, coraz to bardziej obsesyjnej, zamieniającej nuty gregoriańskiego chorału w napady kompulsji: Ecce Agnus Dei, ecce qui tollit peccata mundi. Beati qui ad caenam Agni vocati sunt.
Deus. Rodził się w moich ustach, to ja Go stwarzałem, na obraz i podobieństwo swoje, a On - stawał się i - nie potrafiwszy poruszyć swoich, strącanych z komody każdym najmniejszym nawet podmuchem wiatru, wyznawców - umierał.

(Przypomniałem sobie to wszystko wiele lat później, gdy do drzwi mego mieszkania zastukała młoda kobieta i, uśmiechem obdzielając każdy kąt sieni - zaproponowała rozmowę o Bożym Synu, a ja, przybrawszy najserdeczniejszy grymas na jaki mnie wówczas było stać, odparłem:
- Nie mogę z panią rozmawiać o Synu Bożym.
- Dlaczego? - spytała.
- Bo to ja jestem Synem Bożym.)

Owo modlitewne perpetuum mobile, z dnia na dzień - ruchem paradoksalnym - jednostajnie przyspieszonym, przybliżające mnie do ostatecznej mentalnej porażki, zatrzymał wreszcie - listonosz. Nadszedł czas i mojego paketowego dyżuru (miałem więc prawo pierwszeństwa w wyborze fanta) - na kuchennym stole, delikatnie rozsunąłem kolejne warstwy szarego papieru i, rozchyliwszy brzegi kartonowego wieka, począłem powoli wyjmować zawartość: czekoladę, kawę, małe, ostro zakończone bawarskie kiełbaski, proszek do prania w miękkiej błyszczącej torebce, mydło, szynkę w puszce. I kolorowy, pachnący, kwiatowy, Quelle. Pod nim, na samym dnie - zamykając listę łupów - leżała drewniana lalka, której kończyny, płaskie i toporne, poruszać się miały za sprawą ledwo dostrzegalnej linki, przymocowanej do głowy, ciągnącej się wzdłuż kręgosłupa. Pajac - to był mój fant - niezwykły,

nieprzewidziany - oczywisty. Płaska twarz, pozbawiona nosa, grubą kredką naszkicowane usta i ogromne, niezgrabnie nakropione oczy, tułów stanowiła prostokątna deseczka, nie przymglona choćby odrobiną barwy, surowa, drażniąca chropowatą, nieoszlifowaną powierzchnią - to wszystko razem definiowało archetyp prostoty, brzydoty - magicznej, zdolnej do ruchu, godnej ożywienia. Wyciąłęm więc z najnowszego żurnala najpiękniejszą kobiecą twarz - dokładnie wymierzając milimetrowe niuanse konturów i - z pomocą ojcowego butaprenu - delikatnie, z pietyzmem godnym Creatora Mundi, przeniosłem cudowną fizjonomię z nieznanej modelki - na lalkę.
- To twoja dziewczyna? - zaśmiał się dziadek widząc, jak wstydliwie chowam za plecami efekt moich plastycznych machinacji.
- Dziewczyna? - poczerwieniałem - nie.
- A jak ma na imię?
- Nie wiem.
- Jak to nie wiesz?
Dalibóg, nie wiedziałem. Nie miałem zielonego pojęcia, jak ją nazwać.
- Powinieneś wiedzieć. Każda kobieta musi mieć imię.

(Yohimbina - związek chemiczny, otrzymywany z kory afrykańskich drzew, alkaloid, uważany za skuteczny afrodyzjak, stymulujący seksualne podniecenie poprzez odruchowe rozszerzenie naczyń zaopatrujących zewnętrzne narządy płciowe.)

Pomimo tego, pozostawała Bezimienną, jedyną słuchaczką moich wieczornych mszy. Wiedząc, że żadna z rezydujących w sypialni papierowych twarzy nie będzie godna współzawodniczyć z nią o kapłańskie względy, spaliłem je wszystkie - wrzucałem do pieca, jedną po drugiej. Pan daje, Pan zabiera,niech imię Pańskie będzie błogosławione. Ona zaś - chropowatością swoją przyciągała, wydzielając woń - inną niż wszystkie, które do tej pory znałem, opiumową, opadającą niewielkimi kroplami, ściągałem je delikatnie, smakowałem, były słodkie, ich ostry, ziołowy posmak zmuszał do skosztowania raz jeszcze. I jeszcze. Upojony, wbiwszy wzrok w jej duże niebieskie żurnalowe oczy, oczekiwałem rewanżu. A, kiedy tak, wydawało się, patrzyła - zupełnie inny rodzaj podniecenia, niż ten - krtaniowy, rozpierający klatkę piersiową, wybuchał drobnymi bańkami, kilka centymetrów pod pępkiem, gdzieś w głębi, wędrował słodkim zapachem, wzdłuż ud i opasawszy kolana febrą - między pośladkami - wracał do miejsca swoich narodzin.
Wieczorami, kładłem ją obok, nasycając światłem wyblakłe postaci półnagich żurnalowych dziewczyn, próbowałem opuszkami palców odnaleźć wszystkie zapamiętane krągłości, a gdy nie znajdowałem ich u niej, szukałem u siebie - metodycznie, centymetr po centymetrze, perfekcyjnie, a każde nowe znalezisko stawało się drżeniem, ognistym pociskiem przecinającym podbrzusze, łukiem elektrycznym, swoją mocą zaciskającym powieki, coraz to mocniej, do chwili, gdy ostry zapach: opium i ziół, wplątany w takty ogłuszającej polifonii, sprowadzał na dwunastoletnie umęczone ciało błogosławieństwo nagłego, lepkiego snu.

Niedługo potem, w dzień pogrzebu dziadka, zapakowałem drewnianą Bezimienną w inkrustowany złotem ornat i wepchnąwszy prosto w ogień paleniska patrzyłem, milcząco, jak, wzbity nagłą podnietą słup niebieskiego ognia, odprawia ostatnią w moim kapłańskim życiu, żałobną koncelebrę.

Do dziś nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego to zrobiłem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z

dnia 4 lutego 1994r.).

dr_brunet, dodano 05.07.2012 08:26

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.